„Tajemnicza wyprawa” inspiruje! Pięcioro popularnych blogerów popisało się talentem



A to niespodzianka! Okazuje się, że „Tajemnicza wyprawa” – książka stworzona przez dzieci-laureatów drugiej edycji konkursu literackiego „Popisz się talentem” – zachęca do sięgnięcia po pióro również dorosłych. A konkretnie – pięcioro popularnych blogerów i dziennikarzy!

Kreatywna współpraca

Popularni i lubiani polscy blogerzy stworzyli opowiadanie stanowiące kontynuację przygód Eli i Wojtka – bohaterów „Tajemniczej wyprawy.” Między 1 a 5 grudnia publikowali na swoich blogach i serwisach kolejne fragmenty tekstu. Z tej kreatywnej sztafety narodziło się zabawne opowiadanie, które teraz – gdy jest już ono ukończone – możecie przeczytać w całości. Zachęcamy, bo warto!

Kto za tym wszystkim stoi

Zanim jednak przeczytacie tekst o superrodzeństwie stworzony przez super-blogerów, chcielibyśmy ich przedstawić. W inicjatywie udział wzięli: Wojciech Musiał z bloga juniorowo.pl (https://www.juniorowo.pl/), Aleksandra Stanisławska z crazynauka.pl (https://www.crazynauka.pl/), Mariusz Wojteczek z dzikabanda.pl (http://dzikabanda.pl/), Wojtek Szot z kurzojady.pl (https://www.kurzojady.pl/)i Marcin Perfuński z supertata.tv (http://supertata.tv/). Bardzo im dziękujemy za zaangażowanie i za zabawne opowiadanie. Cały tekst znajdziecie poniżej. Możecie go również pobrać stąd (https://www.nowaera.pl/pobieranie-pliku-3dd0c4eac65b10bf3c30b13602a4b454.pdf).

Dobre idee warto popularyzować

Jest jeszcze jedna rzecz warta wspomnienia: wszyscy twórcy zaangażowani w tę sympatyczną inicjatywę podkreślali, że zależało im na popularyzacji „Tajemniczej wyprawy”, ponieważ to książka niezwykła. Nie tylko stanowi owoc twórczej pracy dzieci, ale też czyni dobro. Wydawnictwo Nowa Era – organizator konkursu „Popisz się talentem” i inicjator akcji – cały dochód ze sprzedaży publikacji przekazuje na wspieranie dziecięcych talentów. A czy Wy macie już swój egzemplarz? To świetny pomysł na mikołajkowy lub świąteczny prezent. Szukajcie „Tajemniczej wyprawy” w naszym sklepie (https://sklep.nowaera.pl/ksiazkaliterackadladzieci-061026.html).

Latająca klasa

– A teraz, drogie dzieci, wyobraźcie sobie, że jesteście w Bydgoszczy…

I wtedy przestrzeń eksplodowała. Niespodziewany wybuch rozerwał klasę 6C na miliony oślepiająco jasnych drobinek. Uczniowie, którzy jeszcze sekundę wcześniej z lekkim znudzeniem czekali, aż Banan rozpocznie lekcję (Banan, nauczyciel geografii, zyskał przydomek ze względu na szeroki uśmiech, z którym wzywał delikwentów do odpowiedzi), nagle znaleźli się wewnątrz ogromnego fajerwerku. Przez chwilę obracali się w powietrzu, a potem opadli na kupę piachu, plastikowych rur, worków po cemencie i wszelkiego paskudztwa, które zwykle wala się na placach budowy.

Zapadła cisza. Oniemienie klasy spotęgował stupor robotników, których niespieszne ruchy przy łopacie przerwane zostały nagłym zmaterializowaniem się dwadzieściorga kilku dwunastolatków wraz z nauczycielem.

BLOGERZY DZIECIOM



MIKOŁAJKOWA NIESPODZIANKA

– Eee… – Banan zaczął z wolna wypełniać ciszę. – Wszycal… Czywszysąc… Cylawszą… – Banan roztarł zmartwiałe usta. – Czy wszyscy są cali? – zdołał wykrztusić.

Jeden z robotników nieświadomie wypluł peta, który zaczął przypalać mu kącik ust.

– Gdzie my jesteśmy? – spytał Banan martwym głosem.

– Nooo… w Bydgoszczy – równie martwo odpowiedział robotnik (ten od peta) – Rynek Główny remontujemy…

Poprzedniego dnia w czasie zabawy na żwirowisku leżącym nieopodal domu Ela natknęła się na dziwną strukturę zagrzebaną w piasku. Wyglądała jak niewielka, lekko zwężająca się rurka z krzemionki. Taki ni to bursztyn, ni to karabinowy nabój.

– Zobacz, co znalazłam!

– Co to jest? Pokaż! – zawołał Wojtek.

Ela rzuciła bratu znalezisko.

– Pierwszy raz coś takiego widzę – zamruczał, obracając w dłoni rurkę. – Może Banan będzie wiedział?

– Dobra, jutro mu pokażemy – zdecydowała Ela. – Oddawaj!

Wojtek odrzucił jej rurkę.

Banan, wychowawca klasy 6C, rozpoczął lekcję od krótkiego omówienia zbliżającej się wycieczki. Ela nie miała zamiaru czekać. Wyjęła rurkę z kieszeni i zaczęła się podnosić.

– Poczekaj – szepnął Wojtek. – Później spytamy!

Banan bardzo nie lubił, gdy mu się przerywało. Wojtek wyciągnął dłoń w stronę siostry.

– A teraz, drogie dzieci, wyobraźcie sobie, że jesteście w Bydgoszczy… – rozpoczął Banan.

Dłoń Wojtka zetknęła się z rurką ściskaną przez Elę. I wtedy przestrzeń eksplodowała…

***

– No żesz!.. – zakrzyknął tubalnym głosem robotnik, czując, że wypluty z ust pet właśnie przepala mu but.

To podziałało na wszystkich jak kubeł zimnej wody.

– Auuua! Boooli!

6C rozwrzeszczała się na całego. Ktoś wygrzebywał się z cementu, wzniecając obłok duszącego pyłu. Banan rozglądał się bezradnie. Wojtek masował obolałe pośladki. Ela wpatrywała się w trzymaną w ręku rurkę.

– Nie mów, że nie masz tych skojarzeń co ja… – szepnęła do Wojtka.

– Ale że co? – odmruknął nieuważnie.

– No wiesz, koralik Karolci, który spełniał życzenia! – wykrzyczała.

– Na pewno…

– No to niby w jaki sposób nagle znaleźliśmy się w BYDGOSZCZY?! – Ela traciła cierpliwość. Podstawiła mu dziwną rurkę pod nos. – To wina tego czegoś! – stwierdziła.

– Wcześniej mówiłaś, że to może być takie coś, co powstaje, kiedy piorun uderzy w piasek – przypomniał Wojtek.

– To się nazywa… ful… fel… chyba felgeryt – próbowała sobie przypomnieć. Chwyciła rurkę i pobiegła do gramolącego się z ziemi Banana. – Panie psorze, czy to jest ten, no, felgeryt?

– Raczej fulguryt – poprawił. Uczył geografii i takie rzeczy przychodziły mu machinalnie. Uważnie przyjrzał się krzemionkowej strzałce. – Eee, nie. To jest belemnit.

– Czyli?.. – dopytywała Ela, obok której stanął Wojtek.

– Belemnity, wymarłe morskie głowonogi podobne do kałamarnic. Dawniej nazywano je strzałkami piorunowymi – Banan wyraźnie wracał do formy. – Belemnity żyły miliony lat temu i wymarły wtedy, kiedy dinozaury: 66 milionów lat temu.

– Ale myśmy to znaleźli na żwirowisku koło domu, a nie w wodzie – Eli coś się nie zgadzało.

– No tak, ale 66 milionów lat temu Polska była pod wodą! – wzrok nauczyciela mimo kurzu na okularach był natchniony. – Okolice Bydgoszczy pokrywało morze, z którego gdzieniegdzie wystawały wyspy porośnięte nieznanymi dziś roślinami…

– O rany, wyobrażam sobie, jakby mogło być na takiej wyspie… – rozmarzył się Wojtek i z roztargnieniem dotknął trzymanego przez Elę belemnitu.

I wtedy przestrzeń znów eksplodowała.

Leżeli w rozsypce na piaszczystej plaży nad morzem. Cała 6C. To zaczynało być męczące. Zanim zdążyli zareagować, ziemia zadrżała od ciężkich kroków. Spojrzeli i oniemieli. W ich stronę biegł na dwóch tylnych łapach potężny stwór z długą szyją.

– To… dinozaur! – zapiszczała Ela i cofnęła się, wpadając na Wojtka. Ten zrobił krok w tył i poczuł, że wdepnął w coś miękkiego.

***

– Fuj! – krzyknął Wojtek, gdy uświadomił sobie, w czym ugrzęzła jego noga. – To przecież jest…

– …skarb! – dokończył za niego Banan, wyraźnie zachwycony. – To jest najwspanialszy skarb, jaki kiedykolwiek ujrzały moje oczy!

Banan zwariował. Bez dwóch zdań. Może te skoki w czasie zaczęły mieć negatywny wpływ na jego psychikę?

W każdym razie na to wskazywała kuriozalna sytuacja, w jakiej się znaleźli. Oto bowiem ich nauczyciel geografii rozpływał się z lubością nad brązową pałką, w której utknęła noga Wojtka. Patrzył na nią z takim błyskiem w oku, jakby obserwował kupę złota. A tymczasem to była… No właśnie.

– To koprolit. – Banan chyba wrócił do formy, bo znowu zaczął używać pojęć, które uczniom niewiele mówiły. – To ekskrementy zwierząt. W naszych czasach nazywamy je koprolitem, bo są skamieniałe. Ale tutaj… Ach! Mamy świeżutką, pachnącą…

– Dość! – przerwał Wojtek, wyraźnie zdegustowany tą sytuacją. – Proszę mi pomóc wyjść z tego… korpo… korko… no, z tych eksperymentów zwierząt. Czy jakoś tak.

Z pomocą Banana i paru rówieśników z klasy udało się wyciągnąć Wojtka z niespodzianki dinozaura. Nowe buty, kupione specjalnie na tę wycieczkę, już nigdy ich nie założę… – nerwowe myśli kołatały się w głowie Wojtka niczym kulki w grzechotce.

– Kumple dziwnie na mnie patrzą. Chyba następnym razem nie wybiorą mnie do drużyny na wuefie. Najgorsze, że całą tę sytuację widziały też dziewczyny, również ta śliczna Asia z czwartej ławki…

– Doprawdy nie wiem, co może być zachwycającego w kupie dinozaura – Wojtek oderwał się od swoich myśli i ni to zadał pytanie, ni to wyraził własne zdanie. Banan najwyraźniej uznał, że znowu jest traktowany jako nauczyciel. Poprawił okulary i perorował:

– Koprolity są dla paleontologów i archeologów cennym źródłem wiedzy o diecie prehistorycznych zwierząt i ludzi. Można też z nich „wyczytać" sporo informacji o pasożytach czy florze bakteryjnej ich właściciela. Do tej pory badane były wyłącznie skamieniałości, ale tutaj mamy je w wersji oryginalnej. Gdyby tak przetransportować je do naszych czasów, mielibyśmy wspaniały materiał do badań, a nasza szkoła znalazłaby się na czołówkach gazet z całego świata. Przypadkiem nie czyść swojego buta, Wojtek. To prawdopodobnie najważniejszy but świata…

– Chyba muszę przerwać panu ten wywód, ale właściciel koprolitu na nas patrzy – doszła wreszcie do głosu Ela, do tej pory odwrócona do Wojtka i Banana plecami, ale za to stojąca twarzą w twarz (a raczej twarzą w pysk) z dinozaurem.

Faktycznie, tyranozaur był zainteresowany tym, co się działo wokół jego ekskrementów, ale najwyraźniej nie traktował tych małych dwunożnych istot jako zagrożenia. Łypał swoimi oczami, tak jakby próbował zrozumieć sytuację, jednak jego mózg nie pozwolił mu na wyciągnięcie jakichś bardziej zaawansowanych wniosków.

Za to bez trudu potrafił wydać polecenie: jeść!

Tyranozaur ocknął się, poruszył na boki głową, wyszczerzył zęby, a potem się oblizał.

– On chce nas zjeść! – krzyknęła Ela.

Wojtek rzucił się w jej kierunku z wyciągniętą ręką, wołając: – Mam już dość dinozaurów, koprolitów i poświęcania własnych butów dla dobra nauki. Chcę stąd uciec. Gdziekolwiek!

Złapał za trzymaną przez Elę rurkę belemnitu i wtedy przestrzeń eksplodowała…

***

Dlaczego, gdy człowiek jest przenoszony przez tajemnicze urządzenia, to nie mają one funkcji bezpiecznego lądowania, jakiegoś spadochronu, czy chociaż kamizelki, która by się nadmuchiwała przed upadkiem? Ała! Po kolejnej zmianie światów 6C była raczej zajęta jęczeniem i rozmasowywaniem bolących kończyn niż rozglądaniem się, gdzie tym razem ta dziwaczna skamielina ich przyprowadziła. Przyprowadziła? Wyrzuciła jak z katapulty! Kto to widział? A gdzie wygodne foteliki i poduszki? A ABS-y? Czy ta maszyna jest dopuszczona do użytku przez dzieci? Halo! Kontrola!

Drewniany parkiet. To pierwsze, co zobaczyła Ela, gdy już ustaliła, że boli ją prawa ręka i chyba będzie miała guza na głowie. Rozejrzała się dookoła i… oniemiała. Patrzyło na nią tyle twarzy! I to nie byli tylko jej oszołomieni przyjaciele z klasy. To byli jacyś dziwni, przeważnie starsi, ludzie. Twarze mieli poważne. Patrzyli przed siebie. Może trochę smutno? Niektórzy mieli na sobie kapelusze, kilka kobiet stało w wielkich, kolorowych sukniach. A jeden facet podpierał się o strzelbę.

– Pewnie myśliwy – pomyślała Ela i jeszcze bardziej się wystraszyła, bo już dobrze wiedziała, że myśliwi zwiastują tylko i wyłącznie kłopoty. Jej mama co jakiś czas jeździła na grzyby i spotykała myśliwych. Opowiadała, że zawsze byli na nią bardzo źli, bo nie mogli wtedy strzelać do zwierząt. Ela nie rozumiała, jak można strzelać do zwierząt. Przecież są takie śliczne. Mama z wypraw przywoziła głównie katar, ale i kilka grzybów udawało jej się znaleźć.

– Chyba jestem głodna – pomyślała Ela. – Dobrze by było zjeść drugie śniadanie, a ja nawet nie wiem, gdzie jestem.

– Ale przecież ci ludzie nie żyją! To obrazy! – krzyknął trochę przestraszony Wojtek.

– No…. Żebyś wiedział! – wyrwało się Eli.

***

– Trochę jak u mojego dziadka na strychu – skrzywił się Marcin, rozglądając się. – Tylko kurzu mniej. I pajęczyn…

– Brrr! – wzdrygnęła się Ela. – Nie lubię pajęczyn!

– To nie strych, głupolu – odburknął Wojtek, jednak zaraz zamilkł, skarcony surowym spojrzeniem Banana

– Tylko bez przezywania – upomniał go nauczyciel. – No – omiótł wzrokiem grupkę zdezorientowanych dzieci. – Ktoś już wie, gdzie jesteśmy?

– To muzeum! – zawołała radośnie Ela.

– Dokładnie! To takie magiczne miejsce, gdzie możecie przenieść się do dowolnej epoki! Do wybranego miejsca! Nawet takiego, które już dawno nie istnieje! A nasz magiczny przedmiot – bo chyba nikt nie ma wątpliwości, że jest magiczny? – pozwala nam nieco... ożywić to miejsce.

– Ale to znaczy, że dinozaury nie były prawdziwe? – Wojtek był wyraźnie zawiedziony, kiedy perspektywa rozdeptania przez wielkiego prehistorycznego jaszczura okazała się zupełnie odległa.

– Były – mrugnął nauczyciel. – W waszej wyobraźni. I mogą być znowu! Tak jak postacie na obrazach. Jeśli tylko zechcecie!

Nagle – czyżby pod wpływem tych słów? – stateczne damy na portretach zaczęły się poruszać, szeleścić sukniami z krynoliny, rozkładać i zamykać przeciwsłoneczne parasolki i poprawiać kwieciste kapelusze. Opierający się o strzelbę brodaty myśliwy uśmiechnął się pod wąsem, zamiótł futrzaną czapką w głębokim ukłonie, po czym dziarsko wyskoczył z ramy na muzealny parkiet.

Dzieci patrzyły oniemiałe. Chłopcy – rzecz jasna – podbiegli obejrzeć myśliwski sztucer, a zaintrygowane dziewczyny wdały się w wymianę uprzejmości z poważnymi damami o różowych policzkach i starannie ułożonych fryzurach.

Banan stanął nieco z boku, ot, kroczek czy dwa, i spoglądał na to wszystko z rozbawieniem. Ach, cóż może uczynić wyobraźnia? Jakie światy przed nami odsłonić? Jakie pozwoli nam przeżyć przygody? Jakie odkryć tajemnice dawnych czasów? I żaden, ale to żaden magiczny przedmiot nie jest konieczny. Owszem, przydaje się, pomaga nieco, ale takie niezwykłe narzędzie ma przecież każde z nas. Wystarczy nauczyć się go używać…

Nauczyciel uśmiechnął się, dyskretnie podnosząc upuszczony przez dzieciaki belemnit i wsuwając go do kieszeni marynarki. Dziś nie będzie już potrzebny. Kiedyś, gdzieś, inna klasa, inna 6C lub 5A znajdzie go znów, pozostawionego niby przypadkiem przez nauczyciela w stosownym miejscu. I też ruszy w podróż.

Belfer spojrzał na zegarek. Jeszcze trochę czasu zostało do końca lekcji. Jeszcze przez chwilę jego uczniowie będą mogli nagabywać postacie z portretów, dotknąć futrzanej czapy trapera, powachlować się koronkowym wachlarzem statecznej damy. Później postacie ponownie trafią w ramy obrazów, a jego uczniowie do szkolnej sali, skąd wyruszyli na tę szaloną wyprawę w wyobraźni. Kolejne wycieczki w te zaczarowane magiczne światy mogą odbywać już sami, jeśli tylko zechcą. I żaden magiczny belemnit nie będzie potrzebny. Wystarczą książki.

– Dziękujemy panu – podeszła do niego Ela i uśmiechnęła się z wdzięcznością. – To były fajne zajęcia.

– Cieszę się – odpowiedział Banan, ponownie potwierdzając zasadność swojego przezwiska. – A w przyszłym tygodniu zabiorę was do planetarium!